

Teatr piórem Temidy

Chór głównym bohaterem

O roli, jaką w wyborze drogi kapłańskiej Karola Wojtyły odegrała postać Brata Alberta, późniejszy Papież Jan Paweł II pisał: „Dla mnie jego postać miała znaczenie decydujące, ponieważ w okresie mojego własnego odchodzenia od sztuki, literatury i od teatru, znalazłem w nim szczególne duchowe oparcie i wzór radykalnego wyboru drogi powołania. Jedną z moich największych radości jest to, że mogłem już jako papież wynieść krakowskiego biedaczynę w szarym habicie do chwały ołtarzy. (...) Wielu autorów utrwaliło w literaturze polskiej postać Brata Alberta. Również i ja, jako młody kapłan, w okresie wikariatu u św. Floriana w Krakowie, poświęciłem mu utwór dramatyczny »Brat naszego Boga«, spłacając w ten sposób szczególny dług wdzięczności, jaki wobec niego zaciągnąłem” – napisał Ojciec Święty w „Autobiografii”.

Kim był Brat Albert? Artystą malarzem, Adamem Chmielowskim, który po studiach w Monachium osiadł w Krakowie, otworzył pracownię i tu realizował się artystycznie. Prace malarskie, które po sobie pozostawił, wskazują, że obdarzony był wielkim talentem. Ale wskazują też na proces przemiany duchowej, jaki dokonywał się w jego wnętrzu, poprzez zainteresowanie religijną tematyką (słynny obraz „Ecce Homo”), aż wreszcie po całkowite zerwanie ze sztuką, przywdzianie habitu i oddanie się w służbę Panu Bogu, pomagając tym najuboższym, odrzuconym, dla których nie było miejsca w społeczeństwie. On im nie tylko to miejsce znalazł, tworząc tzw. ogrzewalnie, przytulki, ale zarazem podniósł człowieczą godność tych nę-

dzarzy. Był wśród nich, dla nich żebrał, dla nich kwestował. Był jak apostoł pośród nich.

Dokonując właśnie takiego wyboru drogi życiowej, zrezygnował z czegoś, co przecież było jego miłością, zrezygnował ze sztuki. Odpowiedział Panu Bogu: „tak” i podjął wyznaczone mu przez Pana zadanie, dużo ważniejsze, bo i miłość do Boga okazała się nieporównywalnie większa aniżeli miłość do sztuki. I o tym właśnie, o przemianie duchowej artysty w zakonnik, o powołaniu i wyborze większej miłości, wyborze wymagającym ofiary w postaci rezygnacji z czegoś, co się kocha – jest dramat Karola Wojtyły „Brat naszego Boga”. Dramat, który czyta się poprzez pewną paralelną wyborów drogi życiowej: bohatera utworu Brata Alberta,

jak i autora dramatu Karola Wojtyły, który także powiedział Panu Bogu: „tak”, rezygnując z czegoś, co było dlań niezwykle ważne, co kochał, i gdzie osiągał sukcesy, mianowicie aktorstwo. Ci, którzy mieli szczęście oglądać jego role w Teatrze Rapsodycznym u Kotlarczyka, mówią, że byłby wybitnym aktorem, a więc ta rezygnacja nie była na pewno łatwa.

Twórcy przedstawienia „Brat naszego Boga” połączyli sztukę Karola Wojtyły z wierszami w formie litanii księdza Jana Twardowskiego, do której muzykę napisał Zygmunt Konieczny. I stało się tak, że część muzyczna zdominowała ten spektakl i stała się jego jedyną podporą, aczkolwiek nie na tyle wystarczającą, by go w pełni uratować. Cała psychiczna przestrzeń tego przedstawienia należy do chóru. Bardzo pięknego pod każdym względem: wokalnym, aktorskim, a także jako znak plastyczny. I właśnie chór, wspinał się śpiewając „Litanię polską”, stał się głównym bohaterem tego przedstawienia. Tym bardziej że chór prócz wokalu ma tutaj zadania stricte aktorskie, mówi także tekst, ale nie kwestii dialogowych zawartych w słowie dramatu, lecz teksty wzięte z didaskaliów. Przypomina to trochę antyczny grecki chór wyrażający opinię ludu na dany temat.

Przy takiej konstrukcji przedstawienia narracja rozkłada się niejako na dwa zupełnie niezależne od siebie, autonomicznie istniejące tu; a

nie współistniejące podmioty: czyli na głównego bohatera Adama Chmielowskiego – Brata Alberta, oraz na chór. I tu tkwi zasadniczy błąd prowadzący do porażki tego spektaklu. Ponieważ te dwa byty nie mogą być autonomiczne względem siebie, lecz powinny się wzajemnie uzupełniać. A tak nie jest. Ponadto aktorska strona tego spektaklu, niestety, zawodzi. I to bardzo. W tej sytuacji ginie zupełnie tytułowy bohater spektaklu, Adam Chmielowski, późniejszy Brat Albert. A ginie głównie z dwóch powodów: niedostatecznie przemyślanej inscenizacji oraz także niedostatecznego aktorstwa Mieczysława Morańskiego. Patrząc na twarz aktora, można odnieść wrażenie, że niezupełnie rozumie wypowiedziane przez siebie kwestie. Ta twarz pozostaje właściwie taka sama przez cały czas trwania przedstawienia, mimo że przecież zdarzyło się tak wiele rzeczy, a jedna – najważniejsza, przesądzająca o dalszym życiu jego bohatera, myślę tu o podjęciu decyzji o przemianie duchowej Adama w Brata Alberta. A tu już od pierwszej sceny, w której pojawia się Adam Chmielowski, widać jakąś obcość u aktora w stosunku do postaci, którą gra. I tak już zostanie do końca. Nawet gdy w finałowej scenie widzimy go już w habicie jako Brata Alberta prowadzącego w klasztorze rozmowę z Hubertem, muzykiem (Janusz Kruciński) zastanawiającym się nad wstąpieniem do zakonu, twarz

aktora pozostaje nadal „prywatna”.

Wielka szkoda, że ambitny zamiar twórców spektaklu się nie powiódł. Oczywiście, nie brakuje pięknych scen wprowadzających poetycki nastrój. Początek i koniec spektaklu ujęto tu we wspaniałą artystycznie ramę, którą tworzy solo na oboju w wykonaniu Mariusza Pędziałka. Ale główny powód, dla którego to przedstawienie zrealizowano, zgodnie przecież z tytułem „Brat naszego Boga”, czyli temat powołania, wyborów, jakich dokonujemy w życiu, cenny, jaką trzeba za nie zapłacić, sprawy godności ludzkiej itp., a więc przesłanie zawarte w dramacie Karola Wojtyły nie zostało tu wyartykułowane. Nawet jeśli istnieje próba tego, to jest ona nieczytelna po stronie widowni. Wiadomo, że utwór Karola Wojtyły nie jest łatwy w przeniesieniu go na scenę. A jeszcze trudności dodaje próba niejako zamiany bohatera dramatu w samego autora dramatu, co ma podkreślić finałowa scena z egzemplarzem. Widać też zamiar inscenizatora, by słowu dać prymat w tym spektaklu, jak niegdyś to bywało w Teatrze Rapsodycznym, ale – niestety – nie wyszło.

Temida Stankiewicz-Podhorecka

„Brat naszego Boga” na motywach dramatu Karola Wojtyły, tekst litanii ks. Jan Twardowski, muz. Zygmunt Konieczny, scenariusz Paweł Aigner, Jan Prochyma, inscenizacja i reżyseria Paweł Aigner, scenog. i kost. Magdalena Gajewska, kier. muz. Cezary Szyfman, Teatr Rampa, Warszawa.